

I/532

Miron Alejski:



Nazywam się Miron Józef Alejski. Urodziłem się w Stęszewie pow. Poznań 28 czerwca 1925 roku. Moi rodzice to Bronisław i Marianna z domu Saskowska. Pochodzę z rodziny rzemieślniczej - ojciec mój był rzeźbiarzem-kamieniarzem. Miałem trzech braci i siostrę. Miejsce zamieszkania moje przed wojną to miasto Stęszew.

Stęszew na pewno jest to miasto o zdecydowanie polskim charakterze. Jeżeli chodzi o przekrój polityczny, to przeważało Stronnictwo Narodowe, poza tym istniało silnie rozwinięte towarzystwo gimnastyczne "Sokół" też o prawicowym charakterze. Były organizacje młodzieżowe jak KSM, to znaczy Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej i Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Żeńskiej, poza tym harcerstwo. Rozwiniętą działalność prowadziło Bractwo Kurkowe. Te środowiska były bardzo prężne, cechowała je różnorodna inicjatywa.

Naukę zacząłem w powszechnej szkole publicznej w Stęszewie. To była siedmioklasowa szkoła. W Stęszewie pod jedną dyrekcją, czy pod jednym kierownictwem szkoła mieściła się w trzech budynkach. Do 1939 roku życie przebiegało bez zakłóceń, poza tym, że tu było dużo ludzi bez pracy, którzy częściowo wiązali się z organizacjami lewicowymi. I jak ja pamiętam, to były również starcia pomiędzy tymi ludźmi, między tymi ugrupowaniami. To zwykle przebiegało w czasie organizowania jakichś uroczystości. Dochodziło nawet do bijatyk, bójek, rozpędzania przez policję itd.

O wojnie zaczęto mówić od początku 1939 roku. Mimo młodego wieku, byłem już dość solidnie zorientowany w tych sprawach. Na to wpłynęły rozmowy rodziców, gazety, radio. Ja bardzo się interesowałem historią i między innymi te szczegóły mnie bardzo interesowały. Do harcerstwa nie należałem, ponieważ ojciec mi

zakazał tego, chociaż rwało się tam moje serce. Ojciec był zdecydowanym stronnikiem Dmowskiego. Z ich twierdzeń wynikało, że ugrupowania harcerskie są pod egidą Piłsudskiego, którego oni byli dość zdecydowanymi przeciwnikami.

1 września 1939 roku już zaczęły się wędrówki ludzi z nad granicy w głąb kraju, to już się zaczęło jakieś kilka dni przed wybuchem wojny. Już wyjeżdżali urzędnicy państwowi i kolejarze na tereny środkowej i wschodniej Polski. Nasilało się w ostatnich dniach przed wybuchem wojny i po jej wybuchu. A sam 1 września to ja doskonale pamiętam, to był przecudowny, piękny, wymarzony dzień. Sam poranek to było coś fantastycznego. Pamiętam błękitne niebo i samoloty niemieckie wracające z Poznania, jeszcze w tym momencie nie uświadamiałem sobie, że są to samoloty niemieckie, które zrzuciły na terenie Strykowa kilka bomb. Pamiętam natomiast powrót naszej pani, która miała aptekę i wracała na samochodzie ciężarowym w białym, okrwawionym fartuchu. Ona udzielała w Strykowie pierwszej pomocy. Potem, wzorem wszystkich innych ludzi, ojciec z grupą mężczyzn, którzy nie zostali zmobilizowani do wojska, rowerami wyruszyli w kierunku centralnej Polski. A matka z nami, pięciorgiem dzieciaków, przez Wartę się przeprawiała gdzieś w okolicach Rogalina. Tam przebyliśmy kilka dni w lesie. Pamiętam jak matka, chcąc nas nakarmić doiła błąkające się krowy. Po kilku dniach wróciliśmy do Stęszewa, bo to było bezcelowa ucieczka. Po kilku dniach pomaszerowaliśmy do Poznania i tam u naszych krewnych przebyliśmy około dziesięciu dni. Potem normalnie wróciliśmy do Stęszewa.

Jak wróciliśmy do Stęszewa, po kilku dniach ja osobiście z jednym z moich kolegów zostaliśmy wezwani do pastora protestanckiego. Ktoś nas oskarżył, że próbowaliśmy rzucać kamieniami i wybijać szyby w kościele niemieckim. Jeszcze o inne

dewastacje nas oskarżano, ale jakoś wytłumaczyliśmy się. Były jakieś próby dewastacji tego kościoła, ale nie przez nas. Bardzo szybko zorganizowano tu administrację niemiecką. Pierwszym burmistrzem był Busman. Nie potrafię sobie dokładnie przypomnieć, czy to był urzędnik konsulatu niemieckiego z Poznania, czy urzędnik jakiegoś przedsiębiorstwa niemieckiego w Poznaniu. Po pewnym czasie zorganizowano w Będlewie, w pałacu Potockich, Gauschule - tam chyba esesmani byli, czy SA-mani. W pobliskiej wsi Dębienko, pod lasem wybudowano baraki i tam koszarowały oddziały arbeitdinstu. Stęszew to był teren Herrenvolks i Polacy musieli ustępować Niemcom z drogi, klaniać się grzecznie, a jak nie, to od razu obrywali. Parę razy mnie się też oberwało, bo jak człowiek młody, to czupurny mimo wszystko.

Potem rozpocząłem pracę u malarza, ale to nie trwało długo. Pod okupacją niemiecką jakieś dwa, trzy miesiące jeszcze chodziłem do szkoły. Uczyliśmy się języka niemieckiego, ale to szybko się skończyło. U tego malarza praca nie była dla mnie. Nie pamiętam jak się wydostałem i pracowałem już w firmie Iwananzon(?), która miała swój oddział w Stęszewie a mieściła się w Poznaniu. Iwanansen strasen baum Pozen der strase 1. Taka jest nazwa i adres tej firmy w Poznaniu. Ja byłem zatrudniony przy ładowaniu żwiru na wagonetki i przewożeniu tego żwiru na nowo budowaną drogę. W 1941 roku gdzieś pod koniec byłem przekazany do siedziby firmy w Poznaniu i tam pracowałem przy rozładunku wagonów z żwirem, ponieważ oni również wyrabiali z betonu krawężniki, rury i wszystko, co związane było z budową dróg. Wyboru nie miałem, tam byłem skierowany i nie było na to rady. Tam również pracował mój ojciec i tam 7 listopada 1941 roku został aresztowany przez gestapo. W tym dniu cała organizacja w Stęszewie została rozbita przez gestapo.

Konspiracja na naszym terenie była związana ze Stronnictwem Narodowym. Mój ojciec już w roku 1937, 1938 w ramach drugiego oddziału był związany z wywiadem wojskowym, sztabu generalnego przy DOKP 7 w Poznaniu. To później się nazywało Społeczna Służba Informacyjna. Natomiast sama konspiracja zaczęła się tu właściwie od momentu wybuchu wojny. Do Stęszewa były sprowadzane wydawane w Poznaniu gazetki pt. "Polska Narodowa". Sądzę, że rozpowszechniano ją na terenie całej Wielkopolski. Moja współpraca polegała na rozprowadzeniu do określonych osób gazetek, poza tym pilnowałem zebrań, jeśli się kilka osób zbierało. Patrowaliśmy na ulicach, czy nie zbliża się jakieś niebezpieczeństwo w postaci funkcjonariuszy policji, SA, czy innych. Poza tym w kuźni u pana Madajczaka na ul. Kościańskiej był taki punkt, w którym miejscowy proboszcz ksiądz Stachowiak, który później zginął w Dachau, odbierał przysięgę od konspiratorów. Struktura organizacji polegała na systemie piątkowym, to znaczy, że grupę stanowiło pięć osób. Starłem się dowiedzieć w Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich coś na ten temat w Poznaniu i ku mojemu zaskoczeniu okazało się, że tam nic nie wiedzieli o konspiracji stęszewskiej. Ja do nich pisemnie się zwróciłem w 1978 roku, żeby mi udostępnił jakieś materiały na ten temat. Okazało się, że nic nie wiedzieli. Wobec tego pod szyldem ZBOWiDu zwróciłem się do nich ponownie pisemnie. Tym sposobem zmusiłem ich do przeprowadzenia dochodzeń na terenie Stęszewa, co w całości potwierdziło to wszystko. Oni w swoich dochodzeniach ustalili konspirację liczącą gdzieś około 65 osób. W tych opracowaniach znajduje się nazwisko mojego ojca.

Co ja robiłem, już mówiłem. Rozładowywałem wagony ze żwirem w Poznaniu do maja 1942 roku i stamtąd zostałem wywieziony z szeregiem innych robotników na tereny Wilna i w rejon Wilna. Chyba gdzieś w 1943 roku wiosną wywieziono nas na teren pomiędzy



Witebskiem a Smoleńskiem, konkretnie do miejscowości Rudnia, gdzie mieliśmy swoją jakby stałą siedzibę. Ten wyjazd był przymusowy. Firma była włączona w ramy organizacji TODT, my natomiast byliśmy cywilnymi robotnikami tej firmy. Wyjazd odbył się koleją, wagonami towarowymi, na które były załadowane maszyny i urządzenia budowlane, potrzebne do pracy. Mieszkańców Stęszewa to było chyba trzech albo czterech, bo kilku było z okolicy. Z mieszkańców Stęszewa, pamiętam Jana Gawrona. Był jeszcze Marcin Młynarczak, z Będlewa Wiatrak, z Wronczyna Leon Maik, z Modzew Stawniśław Jankowski i Michał Balcerek.

Podróż do samego Wilna trwała trzy doby. Przeszkody stanowiły transporty wojskowe. Myśmy jechali przez Toruń, Olsztyn, Kowno. W Wilnie stanęliśmy na stacji towarowej. Swój punkt mieliśmy jakieś 2 lub 3 kilometry od Wilna, w miejscowości Niemież. To jest droga do Oszmiany, tam właściwie byłem do wiosny 1943 roku, z tym, że byłem przerzucany na trasie: Niemierz, Rukojnie, Miedniki, w tym rejonie się obracałem. Tam nawiązałem pierwsze kontakty nawiązane z konspiracją wileńską. To również byli przymusowi robotnicy skierowani do pracy w tej firmie. Przez nich kontaktowałem się w Wilnie. Ja nie byłem wtajemniczony w sedno tych spraw, ale tak daleko byłem dopuszczony, że orientowałem się w zagadnieniach tej konspiracji jaka się tam tworzyła.

Poruszanie się po terenie Wilna było ograniczone. My byliśmy pod kontrolą Niemców. Ich polecenia musieliśmy wykonywać. Owszem, poruszaliśmy się wśród ludności, ale to było wszystko w kręgu naszych siedzib. Kilka razy byłem w Wilnie z kolegami, w pierwszym rzędzie pomaszzerowaliśmy na cmentarz Rossa. Pierwsze momenty to było nawiązanie kontaktów z dziewczynami, z wilniankami. To jest po prostu cecha młodości i to nam pomagało zorientować się jak się żyje, jak Niemcy się zachowują, jak tu Polacy żyją. Od nich

mieliśmy dużo wiadomości. Z Litwinami zaraz po przyjeździe do Wilna miałem pierwsze starcie na dworcu. Zabłąkały się tam dwie Żydówki z tymi gwiazdami Dawida naszytymi i myśmy zaczęli z nimi rozmowę. Na to przyszli dwaj Litwini, żandarmi, może Szaulisii zaczęli nas o to, że rozmawiamy z żydówkami. Dobrze nie mówiłem po niemiecku, ale piąte przez dziesiąte zaczęliśmy tym Litwinom tłumaczyć i odpędzać ich od tych Żydówek, bo oni koniecznie chcieli je zabrać. Myśmy twierdzili, że one są nam potrzebne przy rozładunku i muszą być. Ponieważ nas było dużo, jakoś ci Litwini się odczepili. Myśmy odprowadzili te Żydówki gdzieś na ubocze, na ulicę, żeby ich nikt nie spotkał. Nastroje, jeżeli chodzi o Polaków, były optymistyczne. To byli ludzie, którzy nie wierzyli, że Niemcy mogą zwyciężyć, ani w to, że mogą być na dłuższy okres pod władzą litewską. W tym okresie trudne było uwierzyć, że na ten teren wileński nie wrócą Rosjanie. W rozmowach o przyszłości dominowała Polska, Polska i jeszcze raz Polska.

Ja się nosiłem z myślą, że kiedyś i tak związę się z konspiracją, czy z partyzantką na tym terenie. Wszystko robiłem w tym kierunku, żeby mieć jakieś kontakty. Niech nikt nie myśli, że kontakt z konspiracją, czy partyzantką był łatwy. Ludzie się bali i potrafili utrzymywać tajemnicę. Mnie bardzo dużo wysiłku kosztowało, żeby w ogóle rozmawiać na temat konspiracji.

Jak nas wywieźli w okolice Witebska i Smoleńska, konkretnie do miejscowości Rudnia, to była wiosna 1943 roku. W miarę posuwania się Niemców na wschód, przesuвано całe kolumny robocze w tym kierunku. Praca była ciężka, ale można było się wyżywić. W Rudni tłukłem kamień na drodze młotem, potem pracowałem w kuźni jako pomocnik kowalski, potem znów przy konserwacji dróg. Bo czołgi potrafiły drogi zniszczyć. Wówczas Niemcy nam mówili coś o Katyniu i organizowali wyjazd, żeby popatrzeć na to. Ale ja nie

pojechałem. Byli natomiast moi koledzy i z ich relacji wiedziałem o Katyniu. Z tym, że mówiąc uczciwie, ja nie wierzyłem w początkowej fazie w to, że to zrobili Rosjanie i byłem przekonany, że to zrobili Niemcy i że tą propagandą i swoją zbrodnią chcą obciążyć Związek Radziecki. Dopiero później, jak widziałem parę obrazków z obław na partyzantkę w tym rejonie, gdzie się znajdowałem, widziałem zastrzelonych ludzi, wożone trupy na zwykłych chłopskich wozach itd. to zacząłem powątpiewać. Z tamtejszą ludnością miałem duży kontakt. Starsi mieszkańcy byli zadowoleni, że Niemcy weszli i opanowali te tereny. Jednak na skutek terroru jaki Niemcy zastosowali, ludność została zmuszona do oporu. Po prostu bronili się. Potem ci ludzie miotali się między sympatią do jednej strony a sympatią do drugiej. Bo jedni dawali im w skórę i drudzy dawali im w skórę. Z miejscowymi żyłem za pan brat. Oni uznali, że jestem nieszkodliwy dla nich. Jak mogli dzielili się jedzeniem i wszystkim co mieli. Dla mnie ludność z tamtych stron była naprawdę sympatyczna. Oni z nami byli w porządku. Istniały też grupy partyzanckie, do tego naszego punktu potrafiły docierać i niszczyć walce parowe, czy inne maszyny. Szczególnie dużo było ich w rejonie Smoleńska. Którejś wolnej niedzieli w piątkę próbowaliśmy dostać się do oddziału partyzanckiego. Nie mieliśmy pojęcia o polityce prowadzonej przez Związek Radziecki. Dla nas istotną była walka z wrogiem. Nic z tego nie wyszło, bo tamtejsi ludzie nie chcieli z nami rozmawiać na te tematy. Straciliśmy cały dzień, chodziliśmy po lasach i laskach.

Potem, bodaj że w kwietniu, czy w maju 1943 roku zebrali nas i nie wiadomo w jakim celu wysłano do Berlina. W Berlinie, o ile dobrze pamiętam, przejeżdżałem przez Szarlotenburg tą kolejką podziemną, dotarliśmy do dzielnicy Gronewald i tam byliśmy badani

przez lekarzy Niemców, konkretnie SS, bo pamiętam biały fartuch i te litery czarne "SS" naszyte na fartuchu. Tam byłem chyba dwa tygodnie, czy trzy. Po tych badaniach dostaliśmy te artbeitsbuchy z napisem "Organization TODT, Arbeitsbuch fur Auslender Pole" - to znaczy: książka pracy dla obcokrajowców Polaków. Myśmy jechali pociągiem, którym jeździło wojsko na urlopy. To były osobowe pociągi. Wraz ze mną był kolega Maj, Stucaj, byli dwaj bracia Ciesiołkowie i Broniek Jujeczka z Poznania. Razem 30 lub 40 osób. Kiedy wracaliśmy z Berlina, my którzy byliśmy z tego rejonu, postanowiliśmy sobie, że pojedziemy do domu na parę dni. Ja wróciłem do Stęszewa i chyba przebyłem tydzień w domu. Przed wyjazdem do domu pomyślałem o tym, że będę musiał wracać do tego Wilna i żeby uzasadnić swoje opóźnienie, to w tym dniu, kiedy jechałem z Poznania do Stęszewa, kupiłem równocześnie w kasie bilet do Wilna. Nie wiem, co mnie do tego skłoniło, ale myślałem o tym, co mnie może spotkać. Po tygodniu, wracając ze Stęszewa do Poznania, żeby wykupić bilet z Poznania do Wilna, przy wyjściu zostałem zatrzymany przez feldżandarmerię. Odprowadzili mnie do siedziby policji niemieckiej w Poznaniu na dworcu. Wytłumaczyłem się dosłownie tak: że w drodze powrotnej z Berlina do Wilna zachorowałem na serce i lekarz wojskowy z przejeżdżającego transportu wojsk niemieckich pytał się mnie, gdzie ja mieszkam i czy nie mam gdzieś w pobliżu domu, żebym poszedł do domu a przedtem dał mi zastrzyk. Ja mu powiedziałem, że mieszkam niedaleko Poznania, w Stęszewie i ewentualnie tam mógłbym pobyc parę dni. Nie wiem, czy w to uwierzyli, czy nie, ale uratował mnie ten bilet do Wilna, który wykupiłem w dniu w którym przyjechałem do Poznania i pojechałem do Stęszewa. A przecież Niemcom nigdy nie przyszłoby do głowy, że człowiek mógłby stracić iks marek na to, żeby tylko wydać. Oddali mnie w ręce żandarmów i pilnowali tak



długo, aż kupiłem bilet i pojechałem. Co było to było, ale tydzień w domu pobyłem. Matka się cieszyła. Nie Ojciec już w tym forcie siódmym zginął a pozostały tylko dzieciaki. W Stęszewie nikt mnie nie zaczepiał z Niemców, nikt mnie nie wydał. Szereg ludzi stąd już było wywiezionych do Generalnej Guberni. A w to miejsce przychodzili Niemcy, obsadzali te opuszczone domostwa, przejmowali sklepy, przejmowali warsztaty pracy, obsadzali majątki. No a Polacy, jak nie byli wywiezieni, to byli zmuszani do pracy w swoich własnych zakładach, albo też kierowani do innych prac. Życie toczyło się normalnie, jeżeli nie brać pod uwagę, że ludzie byli głodni, że wszelkimi siłami starali się zdobyć tą żywność - cała energia i wysiłek były skierowane na przeżycie.

Wróciłem do Wilna i dalej znowu do tej Rudni. Wciąż miałem zatargi z Niemcami z tej naszej firmy. Szczególnie jeden wziął się na mnie i musiałem się mocno pilnować.

Gdzieś w sierpniu, wrześniu, już zaczynał się odwrót Niemców z rejonów Witebska, bo nadchodził front. Wtedy wladowałem się do więzienia. Ten właśnie Niemiec, z którym miałem największe zatargi spowodował, że ja się tam dostałem. Pretekstem było zignorowanie przeze mnie polecenia ścinania słupów telefonicznych na opał. Nie wiem co mnie skłoniło do tego, że odmówiłem. Po tej odmowie była reakcja natychmiastowa. Tak mnie obili, że pokrwawili mnie całego i leżącego wrzucili na kupę obornika w chlewie. Miałem wtedy wielki żal o to, że nikt z moich kolegów nie próbował nawet zajrzeć tam. Natomiast ta kobieta - rosyjska gospodyni wieczorem zdobyła się na to, że przyniosła mi kromkę chleba i kubek mleka. Niemcy późnym wieczorem, już pijani, wzięli mnie do swego pokoju i urządzili przesłuchanie. Pytali, czy chcę zginąć tak jak mój ojciec. Oni wiedzieli o ojcu, bo ojciec pracował w tej samej firmie. 19 stycznia 1942 już nie żył po przesłuchaniach w Domu

Zołnierza i w Forcie VII. Ni stąd ni zowąd znowu dostałem taki cios, że gdybym miał język na zębach prawdopodobnie pozbyłbym się go. Na drugi dzień rano zostałem odwieziony samochodem do Witebska. Załadowali mnie do podziemi. Najpierw dwie doby przesiedziałem po kolana w wodzie. Nie miałem możliwości usiąść, tylko oprzeć się o ścianę. Te dwie doby byłem kompletnie bez jedzenia. Potem przeprowadzono mnie do innego pomieszczenia. Proszę sobie wyobrazić mój strach. Sam jeden w dość dużym pomieszczeniu, jakieś 14 metrów kwadratowych. W tym pokoju wstawione żelazne polowe łóżko, bez możliwości położenia się na nim w sposób normalny, bo nie było niczego, tylko dwa na ukos takie pręty żelazne. Szklanka wody na dzień i 50 g chleba, dosłownie. Podłoga betonowa i tam jakieś dwa do trzech centymetrów wody. W nocy odbywały się naloty lotnictwa sowieckiego. Wszyscy uciekają do schronów a ja biedny, zamknięty bez możliwości wydostania się. Widzę reflektory na niebie, widzę spuszczone choinki świetlne z samolotów. Trzęsienie się budynku i huki bomb i artylerii przeciwlotniczej. Włosy mi dęba stawały ze strachu, nie wiedziałem gdzie się schować, co zrobić. Wtedy na pół nerwowo się rozchorowałem, to jest fakt. W sumie w tym więzieniu przebyłem około dwóch tygodni. Kiedy już prawdopodobnie wszyscy musieli się wycofywać z Witebska, to ta firma zabrała mnie z sobą. i przyjechaliśmy z powrotem do Wilna. W Wilnie wtedy wylądowaliśmy na lotnisku Polubanek. Stamtąd po trzech, czterech dniach zostaliśmy przewiezieni w rejon dzielnicy Wilcza Łapa. Z Wilczej Łapy niedaleko było do Ponar, bo tor kolejowy prowadził w lasy ponarskie. Warto przy tej okazji wspomnieć o tych Ponarach. To jest cmentarz gdzieś siedemdziesiąt do stu tysięcy ludzi, Żydów, przeważnie getta żydowskie były tam wybite przy pomocy Litwinów. Wszystko rękami litewskimi się załatwiało. Niemcy byli na tyle

mądrzy.

Potem z Wilczej Łapy trafiłem z powrotem kolejno do Niemierza i do Rukojni. To były wioski na trasie do Oszmiany. Tam już od razu chyba przez przypadek, z kolegami w jednym z pomieszczeń, u jednego z kolegów, gdzie kwaterowali troszeczkę sobie popijaliśmy i trafił do nas gość o nazwisku Kania. Ja zawsze wracałem do wspomnień zamordowania mojego ojca. A ponieważ już żeśmy sobie trochę wypili i rozpoczęły się różnorodne wspominki, ten gość słuchał. Jak już kończyliśmy tą swoją biesiadę, bo musieliśmy się rozejść, on mnie odwołał na bok i powiedział, że jest związany z konspiracją, czy bym nie chciał tam na tym terenie wejść w kontakt z nimi. On mieszkał gdzieś za Miednikami. Ten pan był nauczycielem i szefem takiego punktu siatki konspiracyjnej, związanej z trzecią brygadą "Szczerbca". Bałem się, bo tu miałem matkę i młodsze rodzeństwo i gdyby dostało się to do wiadomości gestapo, no to poszłaby moja rodzina za mnie. Ale miałem z nim kontakt, spotykałem się i żeśmy ustalili, że w razie zagrożenia przyjdę do niego i on mnie przekaże do oddziału. Tak się stało, w 1944 roku już poszedłem do niego i powiedziałem: "Przekazuj mnie do oddziału, już dłużej nie mogę być." Poszliśmy do oddziału partyzanckiego "Szczerbca". Kolegom powiedziałem, że idę do znajomych z następnej wsi. Następną wieś po Rukojniach to były Miedniki. To był obóz, w którym nas po internowaniu zlokalizowano a przedtem Niemcy trzymali tam jeńców radzieckich. Teren byłego starego zamku. Tam nas to było gdzieś na wysokości Murowanej Łoszmianki, słynnej z tego, że tam nastąpiło rozbicie batalionu litewskiego generała Plechavicziusa, który był sformowany między innymi w ramach dywizji do walki z partyzantką na terenie wileńszczyzny. Ale to było w okresie późniejszym i ja w tej walce brałem udział.

Zanim dostałem karabin do ręki i poszedłem na akcję, to

przechodziłem normalne przeszkolenie wojskowe. Począwszy od komendy: "do nogi broń, na ramię broń, prezentuj broń", od samych podstaw. To się odbywało w naszym rejonie w obozie. To był rejon Turbiel, Taboryszek, była to tak zwana Rzeczpospolita Turbielska, bo tam Niemcy nie mieli wstępu. Turbiele były dwa razy zdobywane przez nasze oddziały. Tam Niemcy rzadko się pojawiali. To jakiś okres czasu trwało. Ja miałem takiego bezpośredniego drużynowego o pseudonimie "Placek". Kapral "Placek".

Początkowo byłem w drugiej kompanii "Brzozy". Tam przechodziłem to przeszkolenie rekruckie, bo to było rzeczywiście rekruckie przeszkolenie. I ktokolwiek, kiedykolwiek by wam mówił, że człowiek który nie był żołnierzem, czy partyzantem, nie przechodził takiego przeszkolenia, tylko był od razu dopuszczony do akcji, to proszę nie wierzyć. Tak lekkomyślnie nasi dowódcy nie posyłałi ludzi na śmierć i za to trzeba im dać uznanie. Surowego materiału ludzkiego nie wypuszczali do walk, tylko zawsze były te przeszkolenia rekruckie, zapoznanie się z bronią, taktyka. Dopiero potem można było być na prawach partyzanta. Nasz oddział stopniowo powiększał się: od początku gdzieś we wrześniu to było 17 ludzi, potem 50, potem 70, potem 300 a w walkach o Wilno brało już udział w składzie naszego oddziału przeszło 1000 osób. Ci koledzy, którzy uciekli razem ze mną, nie wszyscy byli w tym oddziale. Uciekać, to uciekałem ja sam. Oni nawet nie wiedzieli, że ja mam ten kontakt. Nikt tego nie wiedział.

Początkowo moim dowódcą w plutonie cyklistów był porucznik imieniem Kurat, on był w naszym oddziale oficerem wywiadu. To niezbyt szczególna postać, ale ja o tym jeszcze nie wiedziałem. Po nim był porucznik "Lot". Następnie przeszedłem pod dowództwo porucznika o pseudonimie "Skromny". Nazwisk nie znałem, za wyjątkiem tego dowódcy o pseudonimie "Kurat". To był gość



inteligentny, jak się okazało, prawdopodobnie na usługach Niemców, bo i takie rzeczy też się zdarzały w oddziałach partyzanckich. I kiedy następowała koncentracja oddziałów przed uderzeniem na Wilno, on zabierał nasze dokumenty i wydawał zaświadczenia z uwidocznionymi pseudonimami, żeby w razie śmierci móc zidentyfikować. Kiedy się dowiedziałem, że ten "Kurat" w jakiś sposób był związany z Niemcami, przeżyłem rzadko spotykany strach. Przecież Niemcy się dowiedzą i tu się zaczną represje mojej rodziny. Ale z tego tytułu nic nie było, więc widocznie nie przekazał. Teraz nie potrafię dokładnie powiedzieć, ale ja jestem w trakcie wyjaśniania tych spraw, czy on wyrokiem sądu naszego oddziału został rozstrzelany, przed akcją na Wilno, czy też w jakiś inny sposób zginął. W każdym razie na pewno został zlikwidowany. Dzisiaj się dowiedziałem z listów, że porucznik "Lot", zapomniałem jego nazwiska, wstąpił do klasztoru i bodaj przed pięcioma laty zmarł, nie wiedziałem o tym, cały czas go szukałem, ponieważ miałem pewne sprawy do wyjaśnienia, o których na pewno nie będę mówił.

Moja działalność w partyzantce polegała na wywiadzie, na penetracji terenu. My byliśmy sformowani w pluton cyklistów, rowerzystów inaczej, no i zwykłe patrole. Wypytywaliśmy ludność o miejsca postojów Niemców, o magazyny, o przechowywaniu broni, o ewentualne możliwości urządzania Czasami na drogach strzelaliśmy do przejeżdżających Niemców, czy Litwinów z tych formacji Plechaviciusa. To sprawiało że już nie czuli się tak swobodnie na drogach, na rekwizycjach żywności. Musieliśmy w jakiś sposób żyć, arabować nie mogliśmy, więc staraliśmy się przeprowadzać rekwizycję w majątkach, na których administrację sprawowali Niemcy, czy Litwini. Oczywiście wspomagała nas tamtejsza ludność i to bardzo mocno. Myśmy się tam czuli jak u siebie w domu. To była

mieszana ludność, choć przeważali Polacy. Żydzi już byli z tych terenów zabrani, wymordowani, pozostali Białorusini. Niekiedy wśród nich znajdowali się popiecznicy tworzonych oddziałów radzieckich i różnych innych mieszanych. Przekazywali swoje obserwacje Niemcom i Litwinom. Wszyscy, o których było wiadomo, że są konfidentami, stawali przed sądem wojennym. I jeżeli była naprawdę ciężka wina, byli rozstrzeliwani. Pozostali otrzymywali swoją porcję batów, lub inną karę. Próbowano partyzantkę na wileńszczyźnie przedstawić, że to były bandy, które działały na zasadzie bezprawia. To jest wielka nieprawda. To były jak najbardziej oddziały oparte o regulaminy wojskowe, obowiązywała karność przypuszczam, że większa jak w wojsku polskim przed wojną. Każda akcja z naszej strony była przez dowództwo zaprogramowana, zaplanowana ze wszystkimi szczegółami, zupełnie tak jak się rozpracowuje plany wojskowe. I za to ja osobiście mam wielki szacunek do moich dowódców, że nie posyłali ludzi zupełnie nieprzygotowanych i takich, którzy by mogli działać samowolnie. Tego nie było. Pewnie, jakieś figle, coś tam zawsze się zdarzyło. Niesubordynacja w rodzaju rzucenia granatu do stawu, żeby ryby wyłowić - to już było zagrożone raportem i konsekwencjami dalszymi. Za kradzież koca, pamiętam, kara wynosiła 50 solidnych batów na goły tyłek i relegowanie z oddziału. To była dotkliwa kara. Nie wiem, co z tym gościem się stało dalej, ale w każdym bądź razie tak się stało.

Mogę wspomnieć Murowaną Oszmiankę, bo tam na skrzyżowaniu naszych dróg partyzanckich się usadowiła kompania z batalionu Plechawicziusa i oni zaczęli strasznie nam przeszkadzać w działaniach operacyjnych. Nasz w nocy, z marszu rozpoczął atak. Brały udział również inne brygady. To wszystko trwało do rana, bo oni byli silnie umocnieni. Litwini stracili tam chyba około setki

ludzi, dwudziestu kilku było rannych, a reszta zabrana do niewoli. Figiel poległ na tym, że jeńcy byli rozebrani z mundurów, w koszulach i kalesonach mieli poodcinane guziki, tak że musieli trzymać te kalesony w ręce. Zostali zaprowadzeni do naszego miejsca postoju, potem byli odtransportowani do Wilna i część do Jaszun. Po tej operacji w Murowanej Oszmiance dywizja generała Plechawiciusa została rozwiązana przez Niemców, a jego samego bodaj aresztowano. Tak się zakończył flirt Litwinów z Niemcami na tym terenie. Z naszego oddziału zginęło tam chyba jedenastu ludzi i pamiętam ich uszeregowanych, leżących, szczególnie jednego, on miał wyrwaną czaszkę, wyrwa jak pół dłoni, wypływający mózg. To było dla mnie szokiem, bo choć widziałem już ludzi rozstrzelanych i zabitych, ale nie widziałem bezpośrednio takiej śmierci, gdzie czaszka rozłupana i wypływa mózg. Potem mieliśmy pogrzeb tych wszystkich kolegów na naszym cmentarzu partyzanckim gdzie chowano tych naszych wszystkich poległych w tych różnych potyczkach, bitwach.

29 czerwca 1944 roku, szykowaliśmy się już do koncentracji pod Wilno. Byłem na dwu, czy trzydniowym patrolu pod dowództwem porucznika "Lota". W rejonie Rudomina spadł niemiecki samolot (samoloty te startowały z lotniska Polubanek koło Wilna). Myśmy chcieli z niego wydobyć dwa karabiny maszynowe, ale on spadł na łąkę bagienną i jak dotarliśmy do niego, to byliśmy po kolana w takim błocie a pod nami ten samolot. Próbowaliśmy go wydobyć chyba przez 36 godzin. Nie udało się. Ktoś prawdopodobnie doniósł Niemcom do Wilna i nasza drużyna wycofywała się z kierunku Rudomina do Turbiel. Po drodze spotkaliśmy jadącą na ciężarówce kompanię szturmową. Jechali tak jak my, z zamiarem wydobycia karabinu maszynowego, czy działka z tego samolotu. Jak oni dojechali do tej miejscowości, to z drugiej strony nadjechał

oddział Niemców i nastąpiło bezpośrednie starcie. Poległo 16 Niemców, z naszej strony był jeden ranny.

Po defiladzie w Turbielach, po zlustrowaniu przez dowództwo już maszerowaliśmy na koncentrację do Wilna. Wiem, że przechodziłem przez tą miejscowość Rukojmie, gdzie byłem bardzo znany, wiem że dziewczyny jeszcze mi podały dużo ciepłego mięsa. Bo z żywnością nie było tak łatwo, na przykład mieliśmy wóz mięsa i nie mieliśmy nic do tego. A proszę się żywić samym rosółem i mięsem.

Nasze oddziały uderzyły, kiedy Rosjanie byli jeszcze dość daleko od Wilna. Oddziały nasze uderzyły z 6 na 7 na Wilno, a Rosjanie nadeszli gdzieś nad wieczorem dopiero 7, czyli cały dzień nas dzielił. W pierwszym rzucie wdarliśmy się do umocnień niemieckich. Oczywiście trudno było marzyć, żeby z bronią automatyczną, jaką były pistolety automatyczne "Steny" itp., czy z karabinami zdobywać bunkry. Nawet z granatami. Myśmy mieli pierwsi zdobyć miasto i po wycofywaniu się Niemców przyjąć Rosjan. Nikt nie wiedział o tym, że Niemcy sprowadzili w międzyczasie doborowe oddziały dywersyjne. To były specjalne oddziały i Niemcy się umocnili siecią bunkrów żelbetowych i trudno się było przedrzeć. W pierwszym uderzeniu kompania "Burego" idąca na czele wdarła się w te umocnienia, natknęli się na pociąg ruchomy pancerny i w tym uderzeniu z naszych oddziałów zginęło gdzieś około 44 lub 45 ludzi. Nie szło się przedrzeć do środka miasta, żeby połączyć się z oddziałami, które wywołały walkę w śródmieściu. Wilno było podzielone, poszczególne dzielnice miały swoich dowódców. Dzielnica "A" to była grupa gdzieś około 500 ludzi. Wywołała walki w śródmieściu. A my nie byliśmy zdolni przebić się, połączyć z nimi. Dopiero 12 lipca Wilno zostało zdobyte. Cały tydzień trwały walki po nadejściu wojsk radzieckich, które już były wyposażone w broń pancerną, lotnictwo i ciężką broń pancerną.



Po zdobyciu Wilna myśmy mieli mieć defiladę w mieście, tak nas zapewniono, na to byliśmy przygotowywani. Okazało się, że Rosjanie nas nie wpuścili do Wilna. Byliśmy zgrupowani w rejonie Kolonii Wileńskiej. Tam był pagórkowaty teren, pokryty lasami świerkowymi, tak jak sobie przypominam. Pamiętam jeszcze kiedy dowódca brygady "Szczerbiec" przemawiał do nas, kiedy generał "Wilk" jeszcze za walkę, jaką stoczyliśmy, składał podziękowania. Generał "Wilk" miał zapewnienie, że będzie mógł stworzyć dwie dywizje bodajże, z oddziałów partyzanckich, które będą współdziałały, współpracowały z armią radziecką, ale wyłącznie pod dowództwem polskim, podporządkowane rządowi w Londynie. Kiedy został zawezwany do kwatery generała Czerniachowskiego, został przez NKWD normalnie rozbrojony, aresztowany i koniec. W następnym dniu zwołano przez dowództwo radzieckie dowódców naszych brygad partyzanckich, które uczestniczyły w walkach o Wilno. w miejscowości Boguszewice. Przyjechały samochody z oddziałami radzieckimi, obstawili naszych dowódców i zażądali od nich złożenia osobistej broni, jaką mieli przy sobie. Tak się skończył sen o formowaniu dwóch dywizji polskich, gdzieś w dalekich stronach Związku Radzieckiego, Kołymy, Workuty i w różnych innych miejscach Kazachstanu. I nas też to sięgnęło.

Chyba z 13 na 14 w czasie tych walk z wycofującą się grupą Sztachela zostałem ranny. To był wybuch i już dalej nic nie pamiętam. Z tym, że ja już nie walczyłem w ramach naszego oddziału, trzeciej brygady partyzanckiej, bo wszyscy się rozproszyli. Nikt nie chciał zdawać broni, gdzieś każdy szukał obojętnie jakiego oddziału, byle się przyłączyć i być razem. W szpitalu polowym przyszedłem do przytomności. Miałem głowę obandażowaną, nogę zranioną i inne sprawy. Parę dni poleżałem, pozszywali mnie i dowiedziałem się, że rozbijają naszych ludzi i

internują. Przecież nie damy się. Uciekłem, ale byłem jeszcze za słaby i nic mi nie pomogło. Co prawda ja broni nie oddałem, bo dałem komuś z mieszkańców. Jeszcze miałem parę dokumentów różnych, to też oddałem. Szedłem akurat na rząd czołgów i nie miałem wyjścia. I oni już w krótkim czasie dostarczyli mnie do Miednik. To było 27 lipca 1944 roku. Kiedy Rosjanie mieli już nas w swoich rękach, to starali się zgrupować w tych Miednikach. Oni tam zebrali bardzo dużą masę ludzi. Część z tego obozu uciekła. Co byłoby warte odnotowania, to przyjazd członków, czy z dowództwa armii Berlinga do werbowania nas do wojska polskiego Berlinga.

Miedniki są 22 km od Wilna. Typowa wieś białoruska, jakich jest tam setki, charakteryzująca się jedynie tym, że był ten stary, chyba piastowski jakiś zamek. Moja pamięć na skutek przejść i ran doznała uszczerbku tego rodzaju, że wiele rzeczy mam zamazanych, a inne znowu doskonale pamiętam, jakby to było wczoraj. Jest to jakaś siatka pamięci a nie cała pamięć.

Tam było zgrupowane około 5000 ludzi, wszystko żołnierze Armii Krajowej, którzy uczestniczyli w walkach o Wilno. Ten obóz to stare mury zamczyska, w środku były również poustawiane baraki z sieczką dosłownie, to chyba kiedyś była słoma, która się przerobiła na sieczkę, bo przecież był to były obóz jeńców radzieckich, których Niemcy tam trzymali. A oni byli do tego stopnia głodzeni, że zdarzył się, o jednym wypadku wiem z opowiadania, wypadek kanibalizmu wśród żołnierzy radzieckich. Do tego stopnia głodzili ich Niemcy. Byłem przerażony tym wszystkim, bo siedzieliśmy za tymi murami, drutami i nie wiadomo było, co z tego wyniknie. Przesłuchań nie przechodziłem. Pamiętam porucznika, sierżanta i kaprała, którzy nas namawiali do wstępowania do armii Berlinga. Ponieważ ja Miedniki znałem i ludność znałem, to sobie pomyślałem, że to okazja do wyjścia i zapisałem się do tej armii.

Zostałem skierowany do punktu sanitarnego, żeby mi opatrunki zrobili i miałem swobodę. Za tymi drutami z żołnierzami radzieckimi razem, będąc na półwolności, bo tak to trzeba określić, miałem czekać, aż ci przedstawiciele pojedą do armii Berlinga ze zwerbowanymi.

Tymczasem ja po opatrunku pomaszzerowałem sobie do znajomych, tam miałem znajomą dziewczynę i przechowałem się tam dwie doby. Ale ponieważ te domy były penetrowane przez Rosjanta dziewczyna i jej rodzice mieli strach. Opuściłem ten dom. Poszedłem z powrotem do obozu, bo ja nie miałem siły i nie miałem się gdzie podziąć. Potem zostałem deportowany do Kaługi.

Załadowali nas w wagony. Oni podają ściśle datę 4 sierpnia, ja nie potrafię powiedzieć, czy to było 4 czy 5 sierpnia. Jazda trwała tydzień. Z ilu wagonów ten transport się składał, nie pamiętam już, w każdym razie chyba wywozili nas kilkoma transportami, bo przecież to była masa ludzi. Jechaliśmy w zadrutowanych wagonach, myślę że w takim wagonie było nas około 30, 40 osób. Poruszaliśmy się jak śledzie w beczce. Bez podawania wody, od czasu do czasu jakiś suchar i solona ryba, czy śledź. Bez możliwości zatrzymywania się gdziekolwiek dla załatwienia potrzeb fizjologicznych. To wszystko trzeba było we własnym zakresie organizować. Prosty sposób to był jakiś otwór w podłodze, czy w ścianie. Pamiętam, że raz, czy dwa razy w nocy staliśmy na jakichś stacjach, to nas wypuścili z wagonów. Po deszczu były kałuże wody i ludzie się rzucali do nich, by zaspokoić pragnienie, nie przewidując, jakie to skutki odniesie. Wszyscy żeśmy zajechali osłabieni, wycieńczeni, wyczerpani i zmarnowani, i w dodatku z biegunką. W tym wagonie jechali wszyscy, którzy mogli chodzić. Osobiście nie widziałem wypadków śmiertelnych, choć słyszałem, że były.

W Kałudze znaleźliśmy się po tygodniu. Pamiętam, kiedy dotarliśmy do stacji Kaługa, orkiestra grała marsza. Z tych wagonów wyprowadzeni zostaliśmy na teren podobny do koszar. To były olbrzymie hale. Ta orkiestra grała na nasze powitanie, chyba na kpiny, bo ludzie bez sił, bez możliwości prezentowania się jako takiego, ale to był taki system, że w najgorszych wypadkach w Związku Radzieckim nadrabiało się wszystko muzyką. W tych koszarach miałem jeszcze stosunkowo o tyle swobody, że przez pewien czas chodziłem na punkt sanitarny do opatrunku i w pierwszej fazie nie było mi tak trudno. Z koszar pamiętam tylko olbrzymi dziedziniec, olbrzymie hale z pryzmami trzy i czteropiętrowymi.

Byliśmy podzieleni na takie roty, to znaczy na kompanie, plutony i wszędzie dali nam za dowódców oficerów i podoficerów Armii Radzieckiej. Regulamin był radziecki wojskowy. Oparli podział na systemie wojsk: pluton, kompania, pułk. Nad nami dowództwo miał podpułkownik Jermołow. To nazwisko pamiętam doskonale. Prowadzili nas codziennie na przeszkolenie wojskowe. Ja przechodziłem takie przeszkolenie w zakresie zwalczania czołgów i broni pancernej. Potem mieliśmy ćwiczenia z karabinami, jednym słowem byliśmy traktowani jak wojsko w okresie rekruckim. Mieliśmy być 361 pułkiem piechoty Armii Radzieckiej. Polityczne szkolenie było na porządku dziennym, bo oficerowie polityczni to byli ci którzy dbali o nasze morale. Na początku, jak maszerowaliśmy na te ćwiczenia, śpiewaliśmy swoje polskie piosenki, bo śpiew był obowiązkowy. I myśmy śpiewali taką piosenkę, która się zaczynała: "Czy umrzeć nam przyjdzie wśród boju, czy w tajgach Sybiru nam zgnić, z trudu naszego i znoju Polska powstanie, by żyć." To jest popularna melodia. Dwa tygodnie prawie trwało, zanim oni się dowiedzieli, co my śpiewamy. Od tego momentu koniec, nie wolno nam



było tego śpiewać. Ale to było naprawdę tak na wesoło. Oni nas uczyli tych swoich radzieckich piosenek. Melodyjne były, ale my mieliśmy zawsze chęć pośpiewać sobie nasze pieśni partyzanckie, czy wojskowe.

Odżywianie było lepsze jak w tych wagonach i w Miednikach, choć niedostateczne, bo wówczas wszyscy bez wyjątku mieli niedostatek pożywienia. Ale oni chcąc nas zwerbować w szeregi swojego wojska, to chociażby tą zewnętrzną formę starali się zachować, żebyśmy zupełnie z głodu nie upadali. Potem dostaliśmy teksty przysięgi do ręki: "Ja grażdanin Sowieckowo Sojuza klanuś sia..." Ja już nie pamiętam dokładnie tych słów, ale w tłumaczeniu to brzmi: "Ja obywatel Związku Radzieckiego przysięgam na wierność Związkowi Radzieckiemu itd.", w tej formie. W pewnym momencie doszło do tego, że zostaliśmy zebrani pod wieczór na dziedzińcu. Przemawiał do nas dowódca gwardii podpułkownik Jermołow. Wówczas wszyscy się zbuntowali i nikt nie przysięgał. Jak zaczęli powtarzać słowa przysięgi, powstał jeden mur milczenia. Oni w tej sytuacji nie rzucali się specjalnie, nie przeklinali, nie wyzywali. Zabrali nam broń. W miejsce mundurów dali nam stare łachy, piły, topory, załadowali w wagony i jazda na wyrąb lasu. Dokąd jedziemy to nam nie powiedzieli. To nie było patyczkowanie się. Nikt nie był w stanie przewidzieć co oni z nami zrobią.

Miałem to szczęście, wielokrotnie będę powtarzał, że miałem to szczęście, że byłem na wyrębie lasu w części europejskiej. To było niedaleko Moskwy. Dokładnie nie pamiętam, ale wiem, że znalazłem się w lesie. Ze mną byli koledzy, których znałem z oddziałów. Między innymi z poznańskiego, z Granowa, Franciszek Sziapka, ale po nim nie ma śladu do dzisiaj. Składy pociągów były duże może 20, 30 wagonów. Podróż trwała kilka dni. Między Kaługą i Moskwą nie ma dużej odległości. Byliśmy w zadrutowanych wagonach i każdy wagon

był pilnowany przez uzbrojonych konwojentów. Na miejscu nie było nic: goły las i lekki śnieg. To był październik 1944 roku. Na czym spać, jak spać, na czym leżeć, Pan Bóg miły wie. Nie wiedzieliśmy gdzie jesteśmy, przynajmniej ja nie wiedziałem a wątpię, żeby pozostali się orientowali. Pierwszą naszą czynnością było przygotowanie sobie miejsc do spania, a więc budowanie szałasów. Po prostu obcinanie gałęzi i budowanie szałasów. Domyślaliśmy się, po co nas tu przywieziono, bo byliśmy w lesie. Musieliśmy w następnym etapie przygotować sobie ziemianki, żeby mieć ciepłe pomieszczenia na zimę. Budowa tych ziemianek trwała jakieś dwa tygodnie. Każdy oddział dla siebie wykopał w tej ziemi i drewnem, bierwionami ściany wyłożył, a następnie te nary, czy prycze sobie pobudował, żeby było ciepło. Nie pamiętam z czego był zrobiony piec, ale chyba ulepiony z gliny, żeby w środku było w miarę ciepło, bo przecież nadchodziła zima.

Nadzór według mnie to było regularne wojsko, być może poniektórzy z karnych kompanii. Trudno mi określić wszystkich, ale częściowo to byli bandyci, złodzieje skończeni. Oni mieli swoje odrębne pomieszczenia, specjalnie już zrobione, przygotowane, to był rodzaj baraków, czy domów. Gotowanie odbywało się na wolnym powietrzu, w kotłach. Boże Świąty, przecież w początkowej fazie, to myśmy jeszcze tam trochę tych sił mieliśmy zachowanych, ale później to jedzenie, a raczej jego brak, nas wykańczało. Listek kapusty gonił drugi listek, trochę jaglanej kaszy, jeżeli dobrze pamiętam, ziemniaki pomarżnięte. Coś strasznego, czego ja bym w życiu nie zjadł, będąc na wolności. No i dominowała w tym wszystkim suszona ryba. Słone to jak pies, twarde jak kłody drewniane, wyschnięte. Tłuszcz nie wiem z czego czy oliwa, czy coś w rodzaju margaryny. Potem jak zagospodarowaliśmy się w miarę w tych ziemiankach, rozpoczął się wyrąb lasu, wycinka drzew. To

polegało na tym, że mieliśmy wyznaczone normy na dwie osoby. Trzeba było drzewo ściąć, obciąć gałęzie i pociąć na kłody dwumetrowe. Norma na dwóch było dwanaście metrów sześciennych, a w rozmiarach jednometrowych - 8 metrów sześciennych we dwóch. W początkowej fazie wydawało nam się, że damy radę. Ale przychodził okres wiosny, lata i przy wyżywieniu jakie mieliśmy, siły zaczęły się wyczerpywać. Zaczęła powoli dawać się w znaki praca jako taka, stawała się coraz cięższą na skutek ubytku sił. Ludzie zaczęli nie wykonywać tych norm, chorować. Przy nie wykonaniu normy pozbawiano jeszcze tej wodnistej zupy. Między innymi mnie często się to w późniejszym okresie zdarzało. No i ludzi zaczęło ubywać. Pamiętam taki wypadek, kiedy stojący koło mnie kolega, był wyższy ode mnie, fizycznie tęższy, który otrzymywał taką samą normę wyżywienia jak ja, na apelu padł i koniec. Do roboty prowadzono pod konwojem. Dzień pracy był nieokreślony, określało go wykonanie normy. W dodatku w porze letniej panowały takie choroby jak świerzb, dezenteria. Ja padłem ofiarą takiej choroby i byłem już takim mużłmaninem a raczej - jak to się w obozach sowieckich określało - dochodiąga. I wiem tylko tyle, że koledzy mnie wynosili na swoich ramionach.

Mieliśmy w naszej grupie dwóch lekarzy. Jednym z nich był doktor Tadeusz Ginko, późniejszy profesor Akademii Śląskiej, dzisiaj już nieżyjący. Dzięki niemu dostałem się do szpitala w Jegoriewsku. Nie tylko ja, bo również i inni koledzy. Byłem z czterema kolegami na jednej sali w tym szpitalu. Jegoriewsko znajdowało się około 30, 40 km od Moskwy, od obozu to było ładnych parę kilometrów, dojeżdżaliśmy samochodami. To było miasto. Doktor Ginko w tym obozie po zbadaniu mnie - widział, że to są zwłoki prawie - sprowadził lekarkę, Rosjankę w stopniu starszego lejtenanta, bo tylko z jej zgodą to mogło się odbyć. Przebadali

mnie na wszystkie strony i zakwalifikowali do tego szpitala. Według mnie to był chyba szpital cywilny, miejski szpital w Jegoriewsku. To był rok 1945, ale czy lipiec, czy sierpień, to nie powiem. W każdym razie jeden z tych letnich miesięcy.

W tym szpitalu przebyłem chyba przeszło dwa tygodnie. Przyszędłem do siebie, nabrałem sił, byłem odżywiany lekkimi potrawami ze względu na chorobę przewodu pokarmowego. Nawet, o dziwo, dawano mi pszenne pieczywo. Siostry, lekarki, które się nami tam opiekowały, robiły wszystko, żebyśmy naprawdę wyszli. One dokładnie wiedziały, kim jesteśmy i były tak serdeczne w stosunku do nas, że można sobie życzyć, żeby tak w polskich szpitalach było. Dzięki temu prawdopodobnie żyję do dzisiaj, bo one mnie jednak postawiły na nogi. Nas leżało w jednym pokoju czterech, tylko jedno nazwisko pamiętam - Sakowicz. Ten krótki okres wspominam jako coś ludzkiego w tych całych warunkach, w jakich byliśmy. W szpitalu nie pilnowano nas. Jak już wiedzieliśmy, że będziemy wychodzić ze szpitala, to przyszło nam do głowy, że spróbujemy uciec. Wypuścili nas rzeczywiście i skierowali nas do czegoś w rodzaju hotelu, w którym mieliśmy czekać na przyjazd żołnierzy z naszej jednostki. Pamiętam tylko tyle, że kiedy skierowałem swoje kroki w stronę stacji kolejowej a nie do tego hotelu, to po przejściu jakiegoś kilometra znowu pod murem siedziałem, to znaczy brakowało mi sił. Nie było mowy ani marzenia o tym żeby uciekać. Próbowałem też uciekać drugi raz z kolegą, który był zdrowy. Mnie się to nie udało, natomiast on rzeczywiście uciekł z tego obozu w Jegoriewsku. Spotkałem się z nim w 1946 roku w Stęszewie. On był spod Warszawy, czy z samej Warszawy. Żyje, mieszka w Starogardzie Szczecińskim. Z jego opowiadania wiem, że dwukrotnie był przez NKWD schwytany i w jakiś sposób zawsze mu się udało uciec. On poszedł w innym kierunku, ja



w innym. On jakoś szczęśliwie dotarł do jakiejś stacji kolejowej, zamelinował się w pociągach i tak dalej. Mnie nikt nie schwytał, ale tak jakoś dziwnie błądziłem, że trafiłem z powrotem do naszego obozu. To znaczy, że w lesie kołowałem. Konsekwencji nie było, koledzy jakoś zatuszowali, bo to nie trwało długo. Próbowali ucieczek inni koledzy, bez powodzenia. Na miejscu urządzali nam sądy, ale to była parodia, bo komplet sędziowski składał się z politruków i oficerów nadzorujących obóz. Wyroki: 10, 15, 20 lat. Ci ludzie byli z obozu zabierani i wywożeni gdzieś dalej.

Nie mogę powiedzieć, że było fizyczne znęcanie się w postaci bicia, wystarczyła sama praca i brak żywności, żeby człowiek nie mógł uczynić tego, co miał w swoim zamyśle. Druga choroba, która nas nękała, to świerzb. To były straszne rzeczy, oni nas smarowali dziegciem z siarką, chodziliśmy czarni jak diabły, wysmarowani nago po kilka dni, żeby z tego świerzbu się wydobyć. Ale skutkowało, to prawda. Plaga, o jakiej mało kto ma wyobrażenie, to były wszy i pluskwy. Jakiegokolwiek miejsca dotknęło się na bieliźnie, czy w ubraniu to były wszy, wszy i jeszcze raz wszy. A w ziemiankach były pluskwy, pluskwy i jeszcze raz pluskwy. Gnieździły się w szparach, co prawda ściany były mchem obtykane, ale to było coś potwornego, jak się taka pluskwa dostała do ucha, albo wpadła do gardła z sufitu. Nikt sobie nie potrafi wyobrazić, ile robactwa nas zżerało. Ze wśród nas nie wybuchł tyfus, no to chyba był cud Boski, bo trudno to inaczej określić. Poza czerwonką i świerzbem nie przechodziłem nic szczególnego, za wyjątkiem tych chorób gastrycznych, bo żołądek i jelita były już nie w porządku.

W tym obozie było nas około 1000. Myśmy mówili zawsze, że jesteśmy na 27 kilometrze. Nigdy nie wiedziałem, czy jesteśmy na 27 kilometrze od Jegoriewska, czy od Moskwy. Nigdy się tym nie zainteresowałem, tylko wiedziałem, że to jest trzeci batalion, że

moim sierżantem był sierżant Sorokin, że mieliśmy takiego w randze starszyny. Ten ostatni, starszy człowiek, w moim przekonaniu zachował jeszcze trochę ludzkich cech. Od niego wiedzieliśmy o procesie 16-tu w Moskwie, on z nami przeprowadzał pogawędki polityczne, on relacjonował nam dość dokładnie przebieg tego procesu, oczywiście w tych wymiarach, które i jemu dali do przekazania. Ale to nie był człowiek złośliwy i niepastwił się nad nami. Niejednokrotnie ostrzegał nas przed czymś złym, żebyśmy nie próbowali ucieczek, nie robili na złość, nie niszczyli, czy nie podkradali kartek na żywność. To był wyjątek wśród tej całej hałastry. Nie przypominam sobie nazwiska lejtnanta, który dowodził naszą rotą. Od niego nie usłyszało się dobrego słowa, tylko wyzwiska i nie odważę się powtórzyć tych klątw i przezwisk, jakimi on nas obdarzał. W każdym razie jednym z lżejszych to było: "Wy jobane Mikołajczyki." Mówiono, że jemu rodzinę gdzieś tam w rejonie Łotwy, Polacy wymordowali i stąd ta jego patologiczna nienawiść do wszystkiego co polskie. brało. Ale te wyzwiska to były kapitalne.

Próbowałem pisać, żaden list nie doszedł do domu. Pisaliśmy na kartkach papieru składanych w takie trójkąciki. To się komuś dawało, żeby przeszmygłował i wrzucił gdzieś. Oficjalnie takich możliwości nie było. Te listy dawało się kolegom, jak jechali po żywność.

Pamiętam kiedy mój kolega z Granowa z jeszcze jednym kolegą zostali zabrani przez NKWD: kazali im zabrać swój wojenny szok, to znaczy torbę i to co z rzeczy mieli. Pod konwojem wyprowadzano ich z terenu obozu. Od tej pory wszelki ślad po nim zaginał. Po przyjeździe do Stęszewa w 1946 roku, pierwsze moje kroki skierowałem do jego rodziny, opisałem wszystko to, co miałem w pamięci jeszcze i powiedziałem, żeby starali się dotrzeć poprzez,

nie wiem już jakie instytucje, ale z tego co wiem, do dzisiaj żadnego śladu po tym człowieku nie ma.

Znaków, że ten pobyt może się skończyć, nie mieliśmy. Wiem, że gdzieś chyba około połowy grudnia 1945 roku, zaczęli coś wspominać o naszym wyjeździe. Ale nie mieliśmy pewności jeszcze. I chyba pomiędzy 15 a 20 grudnia rzeczywiście załadowali nas do wagonów i jazda. Najpierw dojechaliśmy do Moskwy, tam nas wyładowali z wagonów i do takiej ogólnej łaźni, gdzie się pomieściło paręset osób - łaźnia obsługiwana przez kobiety a nam się kazali porozbierać i tam parzyć się pod tymi prysznicami. Te kobiety między nami się kręciły i obsługiwały, więc proszę sobie wyobrazić nasze zawstydzenie. Nie byliśmy do tego stopnia jeszcze nauczeni takiego wspólnego życia. Po dwóch dniach załadowali nas z powrotem do wagonów. Zastanawiałem się wielokrotnie nad tym, ale nie potrafię określić, jaką trasą dotarliśmy do Brześcia nad Bugiem. To już był styczeń 1946 roku. Stosunkowo długi okres czasu przejazdu wynikał z licznych postojów. Po drodze napatrzyłem się przynajmniej na wywożone mienie z terenów zachodnich, które potem rzucane było przy torach kolejowych. Wszystko w śniegu, mrozie: różnorodne urządzenia, maszyny, narzędzia, To wszystko rdzewiało na deszczu na mrozie, leżało na stertach takich olbrzymich jak złomowiska. Albo stosy, stogi mąki składowane też przy stacjach kolejowych. Na skutek deszczu robiła się na nich taka gruba skorupa 4, 5 centymetrów, to było twarde jak żelazo, ale w środku zachowywała się świeża mąka.

W Brześciu nad Bugiem mogliśmy wyjść, trochę rozprostować kości. I tam spotkałem dwa pociągi wracające tak samo jak my. My byliśmy w opłakanym stanie, ale tamci byli w jeszcze gorszym stanie. Okazało się, że to byli powstańcy warszawscy, wracający z kopalń, nie pamiętam z jakich rejonów. Nam było źle, ale jeszcze

bardziej było nam przykro, patrząc na nich. Z Brześcia nad Bugiem wylądowaliśmy w Terespolu. To już były niedalekie odległości. W Terespolu pięknie nas rozdrutowano i przekazano w ręce funkcjonariuszy Ministerstwa Bezpieczeństwa a może wojska, trudno mi to powiedzieć. Przeszliśmy całą noc. Byliśmy już nie tak pilnowani, chociaż strażę stały. Rozpoczęły się tak zwane sądy w każdym wagonie, bo to różnie się zdarzało, jeden na drugiego potrafił w tym naszym obozie też donosić za pajkę chleba, czy za miskę zupy. Odbywały się takie samosądy. Niedużo, ale były. Kilkunastu takich kolegów naszych było solidnie poturbowanych, musieli ich karetkami zabrać. To jest normalna reakcja po wypuszczeniu z obozu. Czy rzeczywiście ci ludzie na tyle zawinili, to trudno powiedzieć. Kiedy człowiek czuje wolność, trudno żeby nie korzystał z okazji, żeby dokonać jakiegoś wymiaru sprawiedliwości we własnym zakresie. W dzień nas przetransportowano do Białej Podlaskiej i tam rozkwaterowano w domach wśród miejscowej ludności. Spotkaliśmy się naprawdę ze serdecznym przyjęciem. Tam po raz pierwszy usłyszałem piosenkę: "Warszawo, moja Warszawo...". Wydawała się nam czymś wyjątkowo pięknym, ale potem się człowiek oswaja ze wszystkim. Rejestrowali nas funkcjonariusze z Ministerstwa Bezpieczeństwa, potem myśmy otrzymywali zaświadczenia z nagłówkiem Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie. Treści nie bardzo już pamiętam. Wiem, że na podstawie tego zaświadczenia miałem prawo przejazdu do domu. W Białej Podlaskiej mieliśmy robione zdjęcia, którymi były opatrzone te zaświadczenia. I one umożliwiały nam przejazd do domów. Czynniki radzieckie podają, że myśmy tam byli 6 stycznia 1946 roku. Do domu dotarłem 19 stycznia. Przy okazji muszę dodać, że dostałem na drogę bluzę wojskową, pół paczki UNRy, jako żywność i coś jeszcze.



Matka, siostry i bracia nie poznali mnie. Dopiero na moje zawołanie: "Mamo, mama mnie nie poznaje, wy mnie nie poznajecie? Czy ja się tak zmieniłem, czy nie jestem tym kim byłem?" Wszyscy się oczywiście rozplakali... Jakoś po kilku godzinach przyszedliśmy do normalnego stanu. I zaczęło się życie dla mnie już w zupełnie innym otoczeniu i innego rodzaju. Od lutego rozpocząłem już pracę, bo z czegoś trzeba było żyć, ktoś musiał nas utrzymywać a moja matka była chora, moi bracia byli młodszy, siostra była młodsza. Często gęsto rodzina przymierała głodem. Nie było lekko. Po jakimś czasie otrzymałem piękne wezwanie do stawienia się na ul. Kochanowskiego w Poznaniu, w Urzędzie Bezpieczeństwa. Tam zaczęło się rozpytywanie o działalność akowskiej. Obroniłem się zaświadczeniem otrzymanym w Białej Podlaskiej z nagłówkiem Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego i od tego czasu właściwie przez władze bezpieczeństwa, czy inne władze milicyjne nie byłem indagowany. Większość miejscowych uznawała to, że byłem Akowcem i raczej odnosili się do tego ze sympatią. Było dużo ludzi, którzy starali się mi pomagać. Natomiast była część, dla których codziennym chlebem było opatrywanie mnie epitetami: "O, to Akowiec, a to taki, siaki, owaki. A to klerykał." W różny sposób byłem nazywany, niezależnie od opisów i anonimów, które szły do komitetu wojewódzkiego i innych instytucji. Było mi dość ciężko. Cokolwiek by powiedzieć, to w Polsce po wojnie, straszny był los ludzi, którzy się dostali w ręce nowej władzy. Przypuszczam, że na jakimś szczeblu zapadła decyzja o powołaniu mnie w szeregi wojska polskiego. No i chyba w kwietniu 1946 roku dostałem wezwanie na komisję lekarską. Po zbadaniu okazało się, że ze mną nie jest tak jak należy; odroczyli mnie i przypomnieli sobie o moich początkach sierpnia. Byłem dość naiwny jeszcze, na powtórnej komisji lekarskiej, chcąc się obronić przed pójściem do wojska, dałem

komisji lekarskiej moje zaświadczenie z Białej Podlaskiej wystawione przez Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego, moje zaświadczenie o wyjściu ze szpitala w Jegoriewsku i mój dowód partyzancki jako potwierdzenie, że ja walczyłem. Oczywiście komisja to zabrała a ja zostałem spisany i skierowany do kawalerii. Dostałem się do I pułku ułanów w Garwolinie.

Później po latach czyniłem starania o odzyskanie tych dokumentów przed wojewódzką komisją lekarską opowiadałem o tych sprawach. Jeden z lekarzy badających mnie postukał się po głowie, co było już dość wymownym dowodem mojej naiwności i zapytał wprost, czy ja nie wiedziałem o tym, że te dokumenty były skrupulatnie niszczone, żeby zacierać ślady. A ja rzeczywiście nie wiedziałem. Ja myślałem, że te dokumenty na czas mojej służby wojskowej będą przechowane w UKRze, czy w RKU. Dokumentów nie odzyskałem do dzisiaj. Ale żeby było śmieszniej, po wielu latach zwróciłem się najpierw do Polskiego Czerwonego Krzyża o wydobycie dokumentu z Białej Podlaskiej, względnie również o wydobycie dokumentów o pobycie w Związku Radzieckim. To było w latach siedemdziesiątych. Z PCK otrzymałem odmowę z podaniem adresu ambasady polskiej w Moskwie, abym tam się zwrócił. Nie dawałem za wygraną, napisałem do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych przesłało sprawę do Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich, Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich przesłała sprawę do Archiwum Akt Nowych w Warszawie. Nigdzie śladu po tych dokumentach. W końcu, co ja mam zrobić? Przecież z nieba nie spadłem w Polsce! Dostałem adres do Centralnego Archiwum Armii Radzieckiej w Podolsku koło Moskwy. I rzeczywiście przysłali mi zaświadczenie o tym, że byłem w polskiej armii krajowej i potem byłem żołnierzem zapasowego pułku strzeleckiego armii radzieckiej. Jak się okazuje, wszyscy którzy

potracili dokumenty w jakichś okolicznościach i którzy się zwracali z tych samych obozów co ja, otrzymywali zaświadczenia, że byli w pułkach armii radzieckiej od 4 sierpnia 1944 do 6 stycznia 1945. Wszyscy mają takie same zaświadczenia, z tym, że nie mają zaznaczone, że byli żołnierzami AK. Mnie się to udało dzięki pewnemu chwytowi, że ja potrzebuję zaświadczenie do ZBOWiDu. No to chociaż mam potwierdzenie, że byłem w tej Armii Krajowej, że byłem na tym terenie radzieckim. Teraz chodzi mi o to zaświadczenie z Białej Podlaskiej, to które było firmowane przez Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego. Tego nie mogę wydostać.

Ponieważ ja byłem wychowany od dziecka w duchu umiłowania ojczyzny, bo tak to kiedyś określaliśmy, dobro ojczyzny stawiane było na pierwszym miejscu, potem dopiero szła rodzina, Bóg i wszystko inne. Mogę powiedzieć uczciwie, tak jak byłem i jestem do dzisiaj zdecydowany, że gdyby ten czas wrócił, to na pewno postąpiłbym tak samo. To znaczy wszystko, co było możliwe poświęciłbym, żeby Polskę uratować, żeby Polska była zawsze krajem, który jest moją ojczyzną. Ja tego mojego zdania nie zmieniłem od początku okupacji po dzień dzisiejszy. Można by się doszukać skazy na tym moim późniejszym życiu, ponieważ w myśl zasady, że najciemniej jest pod latarnią, po bardzo wielu latach zostałem wciągnięty w szeregi PZPRu, o czym ja osobiście nawet nie wiedziałem w początkowej fazie, a to dzięki moim kolegom, którzy starali się mnie przekonać, dlaczego ja mam wciąż być tą owcą, która ciągle jest obszcypywana, strzyżona, pariasem na którym wszyscy mogą swoje powieszać, jak to się mówi popularnie, psy. To znaczy chcąc dokuczyć opisywali, obmawiali, szkalowali itd. Po tym wszystkim miałem spokój a przynajmniej to wszystko przycichło. Zdaję sobie sprawę z tego, że to jest, bez względu na wszystko, plama na moim życiorysie, ale nie czuję się winny. Robiłem

wszystko, żeby mieć spokój, ponieważ, ktokolwiek zna moje przejścia, które w moich wspomnieniach i tak nie zawierają wszystkiego, po prostu mnie zrozumie.

Rozpoczęło się właściwie wszystko od obozu, bo nie tyle jeszcze mogę mówić o Kałudze, ale pod Jegorewskiem. Tam zaczął już mój przewód pokarmowy wysiadać, zaczęły się dolegliwości innego rodzaju, jak odmrożenia. Przecież ja ponad dwa miesiące nie mogłem chodzić z powodu odmrożenia nóg. Po przyjeździe do domu przez pół roku jakoś tak wydobrzałem, że byłem dość sprawny fizycznie. Do wojska poszedłem chory. Ja wtedy miałem całe plecy owrzodzone, wrzód przy wrzodzie. Nad tym komisja lekarska się nie zastanawiała. Powiedzieli tylko tyle: "A to wyleczą w wojsku." Wyleczył mnie taki stary felczer, przez pobieranie krwi z żyły z ramienia i tą samą krew mi wiađował w pośladek. Po pewnym czasie po wrzodach nie było śladu i do dziś nie wiem co to są wrzody. To był skuteczny sposób. To jest wszystko ciągiem dalszym pobytu w obozie. Pierwszy pułk ułanów był formowany ze świeżo zaciągniętych, natomiast istniał jako stary rocznik drugi pułk ułanów. To była pierwsza warszawska dywizja kawalerii. Przed naszym przybyciem do Garwolina, w tym rejonie było szereg band i pojedynczych osób, które podszywały się pod miana partyzanckie, które rabowały, niszczyły i zagrażały ludności. Tylko, że myśmy już w tym nie uczestniczyli, natomiast wiem, że drugi pułk ułanów wiosną brał udział w poszukiwaniu, przeszukiwaniu i zwalczaniu tych oddziałów. My po sześciu chyba tygodniach zostaliśmy skierowani do Płocka na Szkołę Podoficerską Pierwszej Warszawskiej Dywizji Kawalerii. To już był okres przedwyborczy w 1947 roku. Mieliśmy wspaniałego dowódcę, to był rotmistrz Iżyński, który przybył z Anglii, z armii Andersa. W okresie przedwyborczym i w czasie samych wyborów, byliśmy oddziałami rozstawiani w



poszczególnych wioskach i w terenie. To się nazywało zabezpieczanie wyborów. I tam, ja już nie pamiętam czy to były Pilichowice, czy jakaś inna wioska, stał na warcie nasz kolega. Było ciemno, wieczór już, słyszy, że ktoś idzie, krzyknął: "Stój, kto idzie!" i zamiast odpowiedzi dostał pięć kul w piersi. Zabity na miejscu. Posądzenie - bandy, bo to się tak popularnie określało. Chcieli represjonować tych mieszkańców, ale jakoś tak wyszło, że przeciwstawiliśmy się temu. Wybory się odbyły i mieliśmy następnie, w Płocku coś w rodzaju akademii na zakończenie całej akcji wyborczej. Już nie pamiętam, jaka to była sala, czy to nawet w naszych koszarach się odbyło. Wygłaszano przemówienia typu: "Nowa Polska" itd., dostaliśmy paczki z kiełbasą, z wędlinami i po kubku alkoholu. Wypiłem ten kubek, zrobiło mi się wesoło, ale zaczęły mnie razić te przemówienia. W pewnym momencie nie wytrzymałem i tą torbę z tą żywnością, którą dostaliśmy rzuciłem na ziemię. Widząc to, żona rotmistrza Niżyńskiego podeszła do mnie, zaczęła mnie uspokajać, koledzy również. Ale w wyniku tego całego rwetusu została uroczystość zakończona. Potem miałem osobistą rozmowę z moim dowódcą, który niektóre sprawy mi wyjaśnił i ostrzegł mnie żebym uważał, ponieważ mogą mnie zlikwidować. Z nim mogłem rozmawiać szczerze. W niedługim czasie ze szkoły w Płocku zostałem skierowany do czwartego samodzielnego batalionu ochrony sztabu generalnego w Warszawie, do szwadronu reprezentacyjnego prezydenta RP. Prezydentem był już Bierut. Sądziłem, zresztą tak większość sądziła, że to są ludzie nieskazitelni, bo oni mają kierować całym narodem. Nie miałem wtedy pojęcia, jaką rolę odgrywali Bierut, Zymierski. A mieliśmy z nimi do czynienia, gdy odbywały się jakieś uroczystości. Jako szwadron reprezentacyjny uczestniczyliśmy w defiladach. Batalion, do którego byłem skierowany miał w swojej jednostce kompanię

honorową wojska polskiego, orkiestrę reprezentacyjną wojska polskiego i szwadron reprezentacyjny prezydenta. To były te trzy jednostki w Warszawie, przy koszarach Bema a po przeciwległej stronie placu ćwiczebnego, w obrębie tych samych koszar, stał pierwszy pułk KBW. W ubiegłym roku wyczytałem, bodajże w "Gazecie Poznańskiej" artykuł dziennikarza, który szwadron reprezentacyjny prezydenta zaliczył do jednostek KBW. To jest nieprawda, To nie była jednostka KBW, tylko jednostka wojska polskiego, utrzymana w ramach tradycji, jakie były przed wojną.

Koszary w latach 1947, 1948 jeszcze nie były w stanie idealnym, trzeba było samemu remontować, urządzać. Po przeciwnej stronie ulicy natomiast, były rozbierane budynki. Pod nadzorem UB rozbierali te budynki więźniowie, Niemcy i Polacy. I my, żeby sobie ułatwić remont naszej stajni, zaczęliśmy podkraść te cegły, które oni opukiwali i ustawiali. Zawsze jakiś wóz się im ściągnęło. Mieliśmy dowódcę szwadronu reprezentacyjnego, rotmistrza Tesiuka, to był skoczek spadochronowy ze Związku Radzieckiego gdzieś w rejonie krakowskim zrzucony. Pewnego razu, kiedy mieliśmy czyszczenie broni przyszedł i powiedział (nie będę powtarzał jego słownictwa): "Zawołajcie mi czterech takich, siakich, owakich niech tylko przyjdą i wytłumaczą się w jaki sposób dali się złapać?". Okazało się, że wpadliśmy. Na jego pytanie: "Skąd pochodzisz?" większość odpowiadała, że z Poznania, albo z Wielkopolski. I on nazwał tych czterech moich kolegów: "Wy poznańskie folksdojczel!" W tym momencie nie wytrzymałem, bo to było w bardzo obraźliwy sposób powiedziane. Miałem akurat ostrogę w ręce i tą ostrogę rzuciłem o podłogę przed nim. Jakich ja słów użyłem, nie bardzo wiem, bo prawie przytomność straciłem wtedy. On popatrzył na mnie i wyszedł. Potem mieliśmy apel, tych kolegów zostawił w spokoju, idzie po kolei od jednego do drugiego: "Rząd

masz czysty?" Rząd to jest na konia siodło, uździennica. Wszyscy: Czyste, czyste." A ja znowu, jakby piorun strzelił: - "Brudne." Widzę, że piana na usta mu wyszła, już słowa nie mógł wydobyć z siebie z wściekłości, odwrócił się i po chwili wezwał mnie do siebie do kancelarii. To była 10 wieczorem, rozstaliśmy się rano. Po kolei zaczęliśmy sobie opowiadać swoje dzieje. On był szkolony niedaleko obozu, w którym ja się znajdowałem, takich obozów w rejonie Moskwy to było chyba trzysta. Ponieważ jego język i słownictwo nie nadawało się w czasach pokoju, żeby był dowódcą szwadronu reprezentacyjnego, przenosili go do cywila. Do mnie odezwał się w ten sposób: "Wiesz co, ciebie szkoda, żebyś miał z koniami się pałętać, ja ciebie przeniosę do kancelarii żywnościowej." Do końca mojej służby wojskowej prowadziłem żywnościówkę, jak to się popularnie mówi. Ale znowu trafiłem na takiego oficera, z którym się serdecznie nie lubiliśmy. Musiałem jednak wytrzymać do końca. W każdym razie, pomimo scyscji jakie miałem z oficerem politycznym, dowódca mnie zawsze bronił do momentu póki nie poszedł do cywila. I tak upiekła mi się ta służba wojskowa, że wróciłem cało. W ostatnim okresie służby wojskowej miałem kontakt z MON-em, to znaczy z kolegami, którzy pracowali w dziale spraw żywnościowych w Ministerstwie Obrony Narodowej, bo tam musiałem składać bezpośrednio sprawozdania. Wtedy dowiedziałem się trochę, co się działo na Rakowieckiej, dziesiąty pawilon itd. O metodach, jakie stosowane były w śledztwie, o łamaniu kości, o skakaniu po piersiach, takie różne sprawy, że mnie się robiło niedobrze słuchając. A to wszystko było mówione w tajemnicy, po koleżeńsku i w bardzo zaufanej grupie ludzi. Dla mnie to była jakby fantazja, jakaś czytana książka o czymś odległym, czy daleka przeszłość jakaś. Nie zdawałem sobie wówczas sprawy z tego co się dzieje. Już chyba w obozie wykształcił się we mnie odruch żeby

uniknąć sytuacji w której mógłbym popaść w taki konflikt, że moje życie byłoby zagrożone. To jest reakcja obronna po siedzeniu w obozie, syndrom poobozowy. Tym niemniej po wojnie angażowałem się w życie społeczne. To była członkostwo Rady Nadzorczej Banku Spółdzielczego, do Rady Nadzorczej Gminnej Spółdzielni. Mam dwa odznaczenia to jest krzyż Armii Krajowej i Medal Wojska, nadane przez rząd w Londynie. Z Londynu mam je przesłane.

Moje zdrowie po piętnastu, dwudziestu latach od wyjścia z obozu zaczęło bardzo poważnie załamywać się. Pierwszym objawem to było popękanie wrzodów, krwotok i strata przytomności na ulicy. Karetka, szpital. Właściwie rozpoczęło się od lat siedemdziesiątych. Jeszcze profesor Drews żył, jakoś mi zaleczył to wszystko. Po pół roku odnowiła mi się to wszystko, straciłem przytomność i znowu znalazłem się w szpitalu. Była potrzebna natychmiastowa operacja. Nie chciałem się na nią zgodzić. Kiedy zacząłem tracić przytomność, wyraziłem zgodę. Dostałem się na stół operacyjny dokładnie w dniu 13 grudnia. Resekcję żołądka i dwunastnicy zrobili. Ale za trzy dni po tej operacji zaczęło się dziać ze mną niedobrze. Zaczęło pękać wszystko, wróciłem na stół operacyjny. Z otwartym brzuchem leżałem chyba do 16 stycznia następnego roku. I tylko miałem wnętrza czyszczone, lano jakieś płyny, jakieś bandaże ładowano. Swój rozpruty brzuch mogłem sobie oglądać. Dopiero kiedy lekarzom się zdawało, że umieram, kiedy wezwali żonę i dzieci moje, okazało się, że przesilenie minęło. Lekarz powiedział: "Proszę pani już, w tej chwili zaczynamy mieć nadzieję, że będzie żył." Rzeczywiście 16 stycznia poszedłem na stół operacyjny, byłem zaszyty. Ni stąd ni zowąd dostałem jakieś ataki, kamień duży w pęcherzyku żółciowym i następowała martwica trzustki. Wymagana natychmiastowa operacja. Wyłem z bólu, traciłem przytomność, przez trzy dni byłem na morfinie. Ale operację



zrobili. Operował mnie dr Karoń. On był świadkiem i uczestnikiem wypadków z 1956 roku, on był jednym z głównych lekarzy, którzy tam na Poznańskiej tych rannych operowali i brali pod swoją opiekę. Jemu zawdzięczam życie. W pewnym momencie była obawa, że jak wyzdrowieję, to zje mnie cukrzyca. Jakoś się wykaraskałem. Pokazał się cukier, ale po pewnym czasie leczenia zniknął. Okazało się, że mam tak zwany zespół złego wchłaniania, to znaczy organizm nie przyswaja wszystkich pokarmów. Trzeba było znowu zrobić resekcję żołądka, przerabiać jelita, wytworzyła się przetoka w jelitach. No i znowu się zaczęła polka. Znowu nie chciałem się na nic zgodzić. Półtora miesiąca przeleżałem w Instytucie prof. Chasika, który w jakiś sposób mnie wydobył z obrzęków, bo ja pomimo, że jadłem za pięć, to umierałem z głodu. Ja puchłem z głodu. Po półtora miesiąca poszedłem na stół operacyjny. I ta operacja trwała osiem godzin. Pamiętam moment narkozy, pamiętam moment przebudzenia się w czasie operacji, kiedy na skutek cewnikowania przebudziłem się, ale natychmiast zwiększyli dawkę narkozy. Miałem wtedy resekcję, odcinanie jelit, wszystko wyrzucone na wierzch i układane od początku. Dopiero po półtoramiesięcznym pobycie wyszedłem ze szpitala. Ale wyszedłem wyreperowany zupełnie. Cały organizm był schorowany. W najbardziej niespodziewanym momencie, kiedy myślałem, że mam poza sobą te wszystkie choroby, przyszedłem z pracy do domu, zjadłem obiad, włączyłem telewizor, rozpoczęły się bóle i znowu byłem bez przytomności. Zawał serca. To już był rok 1980.

Muszę stwierdzić, że pomimo zła, jakiego zaznałem, pomimo chorób, pomimo tego całego nie zawsze dobrego życia, ja raczej się uginałem, ale nie zламаłem się zupełnie. To pozwoliło mi na wydobywanie się z błota, z dna, bo i tak można określić niektóre sprawy. Nie zatraciłem wiary w to, że życie jest naprawdę, pomimo

panującego zła, dobre. Miałem i mam do tej pory duże wsparcie ze strony żony, ponieważ ona więcej lęka się i boi o mnie, jak ja sam. Wiele musiałem poświęcić na walkę z samym sobą, ze swoją psychiką, ze swoimi dolegliwościami fizycznymi. Nie należę do ludzi, którzy chcą i potrafią się uzewnętrzniać. Nigdy nie starałem się sprawiać wrażenia, że potrzebuję litości ze strony ludzi. Miałem doskonałą pomoc ze strony żony i za to jestem jej naprawdę wdzięczny. Nikt nie zrozumie człowieka, który się boryka z całym swoim życiem. Z przeszłością i teraźniejszością.

koniec